

LEGENDA

Czarodziejski koń Księcia Witolda



ryc. Katarzyna Dippel

Przybyły z bezkresnych stepów półdzikie hordy tatarskie szalały, pustosząc wioski i pola. Rozpędzone końskie kopyta trątały zboże, niszczyły wodopoje. Trzeba było położyć temu kres, by pracowity lud mógł w spokoju żyć i zbierać plony. Dlatego wielki książę Witold skrzyknął armię wojów i ruszył w drogę, by żelazem i ogniem przepędzić intruzów. Miał pod wodzą wielu dzielnych rycerzy z Litwy, w tym także nieulekłych Karaimów, którzy zaciekle bronili nie tylko ziem zamieszkałych przez ich lud, lecz także całej dziedziny Wielkiego Księcia. Karaimskie kobiety, dzieci i starcy z całej Litwy modlili się żarliwie, by młodzież powróciła do domów, a na ziemiach księcia zapanował wreszcie spokój i dobrobyt.

Wyprawa wojenna ruszyła na wiosnę. Witold pędził swego konia po stepach, nie żałował miecza, siekąc wraże karki. W końcu oddziały dotarły do brzegów Morza Czarnego. Wówczas książę powierzył dowództwo swym zaufanym rycerzom, a sam powrócił do stolicy, by jak na dobrego władcę przystało, rządzić państwem.

Minęła wiosna i lato, nastały chłodniejsze dni i coraz częściej niebo zasnuwały szare, ciężkie od deszczu chmury. Słońce wcale się już nie pojawiało, sine mgły snuły się po polach. Ludzie przeczuwając złą pogodę, zapełnili

komory zapasami na zimę i czekali. Zimne wichry zaczęły smagać zagajniki, marszczyć tafle jezior. Lunał rześisty deszcz i nie ustawał przez całe tygodnie. Karaimi pochowali się po domach i tylko z okien obserwowali, jak przepelniają się jeziora. Woda wystąpiła w końcu z brzegów i zalała pola. Ulewa przybierała na sile, aż w końcu lodowate strumienie wody wdarły się na podwórka, do obór, podeszły pod progi domostw. Istny potop, który trwał już dłużej niż czterdzieści dni. Czyżby Bóg rozgniewał się na karaimski lud?

Zebrał się więc Karaimi, załadowali najcenniejsze rzeczy na wozy, uwiązali do nich bydłota i ruszyli szukać ratunku. Wędrowali grzbietami pagórków tam, dokąd woda nie dotarła. Ale coraz było ciężiej i wozom, i koniom, i ludziom. Starszyzna uradziła więc, że nie będą już dalej wędrować, lecz wyślą kilku cieszających się największym poważaniem Karaimów do księcia Witolda po ratunek. Deszcz nie ustawał.

Po kilku dniach wędrowki niemal bez odpoczynku znużeni starcy dotarli do bram stolicy i poprosili o widzenie u Księcia. Wpuszczono ich od razu, wszyscy wszak znali odwagę i poświęcenie karaimskich rycerzy, którzy od wielu już lat walczyli u boku Witolda.

Wkrótce nakładem Wydawnictwa ukladANKA ukaże się zbiór legend karaimskich pod tytułem „Zaczarowany koń Księcia Witolda – wybór baśni karaimskich”.

– Witajcie Karaimi, cóż was sprowadza w moje progi w taką slotę? – zapytał dumny kniaź, uśmiechając się przyjaźnie, bo darzył ten lud wielką sympatią.

– Witaj i bądź błogosławiony, panie nasz i gospodarzu, światło naszych oczu. Synowie nasi od wiosny są na wyprawie wojennej, by czyścić twe włości z tatarskiej zarazy. Nas tymczasem, kobiety i dzieci karaimskie, dotknęła wielka klęska. Dlatego przybywamy do ciebie, panie, po pomoc – najstarszy z Karaimów pokłonił się niemal do samej ziemi. Podobnie postąpili jego towarzysze i cała karaimska delegacja stała zgięta wpool, a Witold patrzył na nich ze swego wysokiego tronu.

– Cóż takiego się stało, moi wierni poddani, że przybyliście tu do mnie z daleka?

– Wielka powódź, panie. Nasze wsie zalane są wodą. I nadal pada. Nie mamy się gdzie podziąć i wlecemy za sobą cały uratowany dobytek...

Kniaź zasępił się, zamyślił, potarł brodę. W końcu twarz mu pojaśniła i rzekł:

– Nie frasujcie się, drodzy poddani. Potrafię docenić to, że wysłaliście pod moje sztandary swych junaków. Wielceście mi się przysłużyli, dlatego okażę swą wdzięczność i zadbam o was, jak przystało dobremu władcy. Wiem, co zrobić. Ruszajcie po swe wozy, kobiety i dzieci, szykujcie się ruszać w drogę powrotną. Niebawem sam do was dołączę.

Starzy Karaimi pokłonili się jeszcze raz swemu suwerenowi. Byli nieco zdziwieni odpowiedzią, jaką uzyskali, lecz nikt nie śmiał dyskutować. Jeżeli tak właśnie postanowił kniaź, to zbiorą manatki, spakują wozy i ruszą do domów, choć pozostały z nich już tylko dachy wystające z wody niczym z mchu szarobure kapelusze grzybów.

Byli już o dzień drogi od wsi, gdy usłyszeli za sobą głośny tętent końskich kopyt. Samotny jeździec pędził ich śladem rozmokłym gościńcem, rozchlapując wokół błotnistą breję. Czarny jak noc rumak powinien się zapadać po pęciny, grzęznąć i zwalniać, lecz on mknął, ledwo dotykając ziemi, a wydawał przy tym dźwięk jakby stąpał po bruku. Zwierzę miało sierść lśniącą jak antracyt, takie same oczy i chrapy. Rozwiana grzywa i ogon sprawiały wrażenie, jakby to one rozpędzały wiatr, który między pojedynczymi włosami brał swój początek. Starsi ludzie od razu poznali, że to nie zwykły koń, a zaczarowany, powstały z wody, który przybrał postać wierzchowca nieposzedniej urody.

Spojrzeni na jeźdźca i aż usta pootwierali ze zdumienia. Rumaka dosiadał nie kto inny, jak sam książę Witold! Kniaź pozdrowił ich uniesioną ręką, uśmiechnął się i minawszy zdumionych, pognął z rozwianym włosiem dalej. Zaczarowany rączy koń doskoczył do brzegu wielkiego rozlewiska, z którego wystawały tylko czubki drzew. Pochylił gibką szyję nad taflą wody, zarżał radośnie i lekko rozdymając chrapy, zaczął pić.

Rzeński poranek przeszedł w południe, chmury na wschodzie zaczęły się przerzedzać, a koń Witolda pił. Minęło południe, lekki wiatr przegnał szare kłęby z nieba, pozostawiając ledwie kilka obłoczków, a koń pił. Nastał ciepły wieczór, rozkumkały się żaby, koń nadal pił. Jeździec pochylił głowę, szeptał coś, jakby modlitwę, a może tylko mówił do siebie lub do konia. Koń nie przestawał chleptać wody. Gdy gwiazdy rozświetliły bezchmurne już niebo, książę przysnął nad łąkiem, pospali się Karaimi na wozach, tylko rumak nie zmrużył oka, dalej sycąc swoje nieugaszone pragnienie.

Gdy ptaki wyleciały z koron drzew, oznajmiając tremami nadejście świtu, Karaimi przetarli zaspane oczy i rozejrzeli się wokół. Zaskoczeni przetarli oczy dla pewności jeszcze raz, Witold zaś uśmiechnął się z satysfakcją.

Dookoła rozpościerały się wilgotne łąki, połyskujące od kropel wody zarośla, widać było niemal obeschłą już drogę do wsi, a w oddali niskie dachy zabudowań, z których promienie słońca spijały ostatnie krople. Koń księcia dopił jeszcze ostatni łyceczek z jeziora, potrząsnął kształtną głową, cichutko beknął i zarżał zadowolony.

– Wielki panie nasz i książę! Niech będzie błogosławiony ród twój, a twe czyny sławione przez wszystkich! Zawsze byliśmy ci wierni i będziemy po wsze czasy, my, nasze dzieci, wnuki i ich wnuki! – zakrzyknęli zebrani wokół Karaimi. Starcy płakali z radości, kobiety wiwatowały, a dzieci wrzeszczały na całe gardło, jak to dzieci.

Książę pozdrowił swych poddanych łaskawym uśmiechem i skinawszy dłonią na pożegnanie, zawrócił konia. Oddalał się dostojnym stępem, bo klacz, choć nadal smukła i zwinna, miała w sobie tyle wody, że przy każdym kroku rozlegało się ciche bulgotanie niczym ze skózanego bukłaka schowanego pod sterłą sieci złożonych na dnie łódki.

Gdy Witold odjechał kawałek i znalazł się za pagórkami, a rozradowany lud stracił go z oczu, dał znak swej pięknej, antracytowej klaczy. Ona zaś stanęła nad brzegiem niewielkiej niecki i... zwróciła ziemi to, co z niej spiła.

Już kilka dni później rozeszła się po całej Karaimszczyźnie wieść o zaczarowanym koniu księcia Witolda, o cudownym ocaleniu i o tym, że pośród jezior trockich pojawiło się jeszcze jedno, którego do tej pory nikt się nie doliczył. Dziwne ono było, bo bezrybne, martwe, ciemne i mętne. Ponadto wyraźnie czuć było woń konia bijącą od jego wód.

Dawne to były czasy, dzisiaj dziadkowie opowiadają swoim wnukom to, co zasłyszeli od swych własnych dziadków. Ale faktem jest, że póki jezioro Płomiany nie połączyło się z Tatarszkami, nie było w nim żadnego życia, ani ryb, ani roślin. I pachniało dziwnie.

Opracowała Anna Sobczak (Warszawa)